

Najdłuższa noc Londynu

2 lipca 2014

70 lat temu, dokładnie 13 czerwca 1944 r., niemieckie pociski V-1 pierwszy raz zaatakowały Londyn. Ataki na miasto nasiliły się w kolejnych dniach. Bywało, że Niemcy wypuszczają na stolicę Wielkiej Brytanii do 100 rakiet dziennie.

Z wyrzutni na wybrzeżach francuskim, belgijskim i holenderskim, a także z pokładów samolotów przystosowanych do przenoszenia V-1 Wielka Brytania była atakowana aż do 28-29 marca 1945 r. Niemieckie naloty na Londyn zniszczyły lub uszkodziły 1 mln budynków, w tym 30 proc. powierzchni The City. Zginęło w nich 40 tys. mieszkańców. Mimo to nazistom nie udało się złamać londyńczyków i historycy mogą pisać, że miasto przeżyło ten czas zgodnie z hasłem „business as usual”.

Wśród nich jest Philip Ziegler. Autor „London at War” pisał, że w obliczu nieustającego zagrożenia „londyńczycy podejmowali przemyślany wysiłek, by wyglądać nonszalancko i beztrosko”. Zgodnie z legendą, która z czasem narosła wokół The Blitz, powodem było to, że morale mieszkańców podtrzymywały patriotyzm oraz poczucie narodowej więzi. Według tej opowieści szczególnie wiele miasto zawdzięczało „przeciętnym londyńczykom”, którzy lepiej niż mieszkańcy Chelsea wiedzieli, że wybuch masowej paniki może być dla nich zgubą. Rzeczywistość – jak to zwykle bywa – była jednak bardziej prozaiczna.

NAJDŁUŻSZA NOC W HISTORII MIASTA

Londyńczycy mieli powody, by się bać. The Blitz rozpoczął się, kiedy Niemcy przegrali Bitwę o Anglię. Adolf Hitler zdecydował wówczas, że przed Luftwaffe należy postawić nowy cel. Dotąd planowano wyniszczenie RAF, co miało pozwolić na zyskanie przewagi w powietrzu i umożliwienie siłom lądowym desantu na Wyspy. Gdy to się nie powiodło, postanowiono złamać morale Brytyjczyków. Hitler jeszcze przed wojną uważał, że wystarczy

zagrożenie bombardowaniami, by skłonić przeciwników do ostrożności i nieangażowania się w walkę. Najlepszą metodą miały być naloty na miasta, a najważniejszym celem Londyn. Oczekiwano, że nieustanne nękanie Londynu przekona Anglików, iż lepiej zostać sojusznikiem Tysiącletniej Rzeszy, niż z nią walczyć. Tym bardziej że efektem – choć drugorzędnym – miało być też zniszczenie potencjału przemysłowego kraju. Metoda była jednak marna, bo trudno było lubić kogoś, kto burzy nasz dom, i raczej oczekiwano, by temu komuś oddać, a brytyjskie fabryki były w znacznej części zlokalizowane poza zasięgiem niemieckich bombowców.

„Zaczęło się od ataków na zewnętrzny Londyn. Uderzono w Croydon i Wimbledon, a pod koniec sierpnia doszło do zabłąkanego nalotu na rejon Cripplegate. W końcu o 17.00 7 września 1940 r. niemieckie siły lotnicze zaatakowały Londyn. 600 bombowców nadleciało falami i zrzuciło bomby nad wschodnim Londynem. Pożary rozgorzały na Beckton, West Ham, Woolwich, Millwall, Limehouse i Rotherhithe” – pisał Peter Ackroyd w „London. The Biography”. Trafiono gazownie i elektrownie. Najważniejszym celem Luftwaffe były jednak doki. W „Courage High”, historii londyńskiej straży pożarnej, zacytowano relację jednego z naocznych świadków, który w czasie nalotu znalazł się na Tamizie: „Pół mili wybrzeża Surrey było w ogniu. Płonące barki dryfowały wszędzie. Na rzece było jak na piekielnym jeziorze”. W czasie pierwszego nalotu zginęło 300 osób. 1,3 tys. domów zostało zburzonych, a był to dopiero początek. Rozpoczęte 7 września naloty miały bowiem trwać przez niemal rok. W tym czasie doszło do 77 dużych – jako takie liczono te, których efektem było zrzucenie ponad 100 ton bomb – i udanych bombardowań.

Początkowo bombardowano w dzień. Jednak to powodowało spore straty i wkrótce Hermann Göring zdecydował, że Luftwaffe będzie operować jedynie nocą. Miasto już wcześniej odpowiedziało na ten ruch całkowitym zaciemnieniem – to dlatego o The Blitz mówi się jako o najdłuższej nocy w

historii Londynu. Ciekawostką jest to, że ubocznym efektem braku oświetlenia był wzrost liczby wypadków samochodowych. Londyńczycy nie przestali bowiem jeździć, mimo że musieli to robić po ciemku.

DRUGI WIELKI POŻAR LONDYNU

Kolejne naloty przynosiły spore straty – w niektórych zginęło nawet 1000 osób – jednak nie tak duże, by załamać morale miasta. To irytowało dowódców Luftwaffe i ich szefa. Tym bardziej że pogoda zaczęła przeszkadzać w regularnych nalotach na miasto. Zdecydowano, że trzeba wziąć na cel cywilów i zrobić coś spektakularnego. 29 grudnia 1940 r. doszło do największego bombardowania w czasie The Blitz. „Alarm rozbrzmiał krótko po 18.00, a chwilę później bomby zapalające zaczęły spadać na miasto jak gęsty deszcz” – pisał Ackroyd. Nie ma w tym przesady. Luftwaffe rzuciło w sumie 124 tys. bomb. Celem było The City.

Jeden ze świadków, który w czasie nalotu siedział na dachu Banku Anglii – dalej za „London. The Biography” – opisywał: „Całe miasto wyglądało, jakby stało w płomieniach. Z każdej strony osaczały nas płomienie”. Noc tę nazwano Drugim Wielkim Pożarem Londynu. Podczas niej zniknęła 1/3 powierzchni The City. Spłonęło 19 kościołów. Budowniczym szesnastu z nich był Christopher Wren, który stawiał miasto na nogi po pierwszym Wielkim Pożarze Londynu. Spłonęło też m.in. 5 mln książek, gdy bomby zapalające trafiły w Paternoster Row, wydawnicze centrum miasta. Jednak straty były przede wszystkim materialne. Ofiar było znacznie mniej niż w czasie pierwszych, mniejszych nalotów. W sumie zginęło niespełna 200 osób, w tym kilkunastu strażaków walczących z ogniem. Wszystko dlatego, że mieszkańcy nauczyli się coraz lepiej radzić sobie z zagrożeniem.

NOC W METRZE

Podczas pierwszych nalotów londyńczycy nie do końca wiedzieli jeszcze, co i jak robić. Do grudnia zdążyli się nauczyć.

Codzienną rutyną było na przykład to, że ok. 16.00 przed stacjami metra ustawiały się długie kolejki ludzi, którzy grzecznie oczekiwali na możliwość wejścia do zamienianych w schrony tuneli. Początkowo korzystało z nich ok. 100 tys. ludzi. Z czasem ta liczba wzrosła do niemal 200 tys. Znacząco przybyło... domowych schronów. Brytyjskie władze rozdawały (biedniejszym) lub sprzedawały za bezcen (zamożniejszym) tzw. schrony Andersona, które były niewielkimi budkami zrobionymi ze zbrojonej stali. W czasie wojny wyprodukowano ich ponad 2 mln. Mogło się w nich zmieścić do sześciu osób i ustawiano je w ogródkach za domem. Nie brak fotografii przedstawiających ruiny domów, obok których stoją nietknięte „budki Andersona”.

Część ludzi ewakuowano na wieś, przede wszystkim dzieci. Wiele z nich jednak nie chciało zostać na wsi i wolało znajome zakamarki, dlatego z tych przymusowych kolonii wracało. Wiele dzieci pomagało zresztą w obronie miasta. Do legendy przeszli tzw. Blitz Boys. Były to drużyny skautów, które pracowały razem ze strażakami. Teoretycznie ich zadaniem było nawigowanie cysternami, w praktyce nierzadko te dzieciaki wynosiły ludzi z płonących domów. Miały też jeszcze jedno ważne zadanie. Wokół miejsc zniszczonych przez bombardowania regularnie zbiegali się gapie. Z czasem takie odwiedziny stały się miejskim sportem, a zbierające się tłumy zaczęły przeszkadzać w gaszeniu ognia. Skauci pomagali nad nimi panować.

RZĄD SIĘ SCHRONI

Generalnie było dużo lepiej, niż myślał Hitler. Było też dużo lepiej, niż zakładali sami Brytyjczycy. Basil Liddel Hart, jeden z najbardziej wpływowych teoretyków militarnych tamtych czasów, przed wojną zakładał, że w ciągu pierwszego tygodnia ataku lotniczego zginie 250 tys. ludzi. Winston Churchill mówił z kolei, że Londyn to „największy cel świata, rodzaj ogromnej, grubej i cennej krowy, przywiązanej tylko po to, by znęcić drapieżnika”. Jego zdaniem w przypadku ataku co najmniej 3 mln ludzi miały uciec na wieś. Oczekiwano hysterii.

Nic takiego się jednak nie zdarzyło. Zgodnie z legendą zamiast hysterii pojawił się heroizm, a w mieście zapanowała atmosfera jedności narodowej. Szczególne zasługi przypisywano „cockneyom”, którym uliczny spryt miał podpowiadać, czego miasto potrzebuje, by przetrwać. A miało potrzebować przede wszystkim spokoju.

W rzeczywistości decydował nie tyle patriotyzm, co konieczność. Odpowiedzialność za miasto spadła przede wszystkim na biedniejszych mieszkańców i klasę średnią, bo bogatsi mogli się ewakuować, a „przeciętnych londyńczyków” nie było na to stać. Symbolem podziałów stała się polityka budowy schronów przeciwlotniczych. Jeszcze przed wybuchem wojny zorientowano się, że najbezpieczniej będzie ulokować je pod ziemią. Szybko zdecydowano, że trzeba zabezpieczyć oficjeli i nieużywaną od pewnego czasu stację metra Downing Street zmieniono w luskusowy bunkier. W tym samym czasie radni Finsbury zamówili plany budowy schronów w ich dzielnicy. Zdążono je przygotować, ale projekt nie doczekał się realizacji. Rząd zdecydował, że nie ma takiej potrzeby. Oficjalnie argumentowano, że nie można ich budować w trosce o zdrowie psychiczne obywateli, bo jak ci przyzwyczają się do życia pod ziemią, to już nie będą chcieli spod niej wyjść. Nieoficjalnie rząd miał się gdzie schronić.

DLACZEGO LONDYN NIE ZWARIOWAŁ?

Argumentacja była absurdalna, ale w jej tle pojawia się jedno z najciekawszych pytań dotyczących The Blitz: dlaczego nie wybuchła panika, a Londyn ze strachu nie zwariował? Niezależnie bowiem od nierozstrzygniętych historycznych sporów o to, ile w mieście jest mitu, faktem pozostaje, że londyńczycy radzili sobie o wiele lepiej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. A na pewno lepiej, niż spodziewało się brytyjskie naczelne dowódctwo. Scenariusz przygotowany w sztabie zakładał bowiem, że efektem bombardowań będzie 600 tys. zabitych i 1,2 mln rannych. Taka liczba ofiar miała doprowadzić do masowej paniki i strajków. Wojsko miało być niezdolne do walki i

pochłonięte pilnowaniem rozhisteryzowanych mieszkańców.

Wierzono w to tak mocno, że utworzono nawet kilka dodatkowych szpitali psychiatrycznych. Wagę niebezpieczeństwa potwierdzały też bardzo ostre reakcje żołnierzy poddanych ostremu ostrzałowi artyleryjskiemu pod Dunkierką. Rozumowano, że skoro oni sobie z tym nie radzili, tym bardziej nie poradzą sobie cywile. Nic takiego się jednak nie stało. Pomimo 40 tys. ofiar, zniszczenia lub uszkodzenia 1 mln budynków w mieście i narażenia na przewlekły stres londyńczycy potrafili przyjąć postawę, którą Churchill podsumował słowami „business as usual”. Wzrosła liczba odwiedzin w pubach, a zawody sportowe potrafiły przyciągać tysiące widzów. Na ulicach toczyło się życie, które jeden z ówczesnych londyńczyków opisał tak: „Co każde 100 jardów lub coś koło tego widniał krater po bombie albo ruiny czegoś, co kiedyś było domem lub sklepem. Syrena zawyła alarmująco i popatrzyłem, co się dzieje. Zakonnica złapała rękę chłopca, którego prowadziła, i przyspieszyła. Ona i ja wydawaliśmy się być jedynymi, którzy usłyszeli ostrzeżenie.

Chłopcy bawili się wszędzie na chodnikach, sklepikarze nawoływali tak samo jak wcześniej, policjanci kierowali ruchem, okazując majestatyczne znużenie, a rowerzyści walczyli ze śmiercią i prawami ruchu drogowego. Nikt, kogo bym widział, nawet nie popatrzył w niebo”.

Na ulicach zamiast paniki pojawiła się obojętność. Na pytanie, dlaczego tak się stało, próbował odpowiedzieć Malcolm Gladwell. Publicysta „New Yorkera” w swojej najnowszej książce „David and Goliath”, posiłkując się pracą psychiatry J.T. MacCurdy’ego, który badał wpływ bombardowań miast na morale ich mieszkańców, wskazał, że takie naloty dotyczą ludzi na trzy sposoby, i ofiary podzielił na trzy grupy. Pierwsza to ci, którzy w nich giną. Jednak, jak słusznie zauważa Gladwell, oni niespecjalnie mają możliwość siania paniki. Druga grupa to ci, którzy znajdowali się blisko, widzieli, co się stało, być może byli ranni i doznali szoku. I to oni najczęściej

przenoszą swój strach. Natomiast trzecia grupa to ci, którzy słyszeli syrenę, może nawet bomby, wiedzieli, że coś się dzieje, ale byli za daleko, by stało się im coś złego. Po kilku takich sytuacjach ludzie ci przestają reagować na sygnały niebezpieczeństwa, przyzwyczajają się do nich i zyskują poczucie, że nie może się im nic stać. O tym, czy miasto wpada w panikę, decyduje to, ile osób jest w grupie drugiej, a ile w trzeciej. Jeżeli przewaga tych ostatnich jest bardzo duża, to zamiast strachu pojawia się obojętność. Tak właśnie stało się w Londynie, którego rozmiar – uważany za zagrożenie, bo był łatwym celem – stał się jego atutem. Ofiar było dużo, tak jak i zniszczeń, jednak w skali całego miasta był to jedynie niewielki odsetek, dlatego większość jego mieszkańców zachowała spokój.

The Blitz zakończył się w 1941 r., gdy większość samolotów Luftwaffe została przeniesiona na front wschodni, by wziąć udział w inwazji na Związek Radziecki.

Autor: Tomasz Borejza

Źródło: [eLondyn](#)